

# ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ  
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 3 PAŹDZIERNIKA 1915

NR. 10.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



## O BOHATERZE I ZWYCZAJNYM CZŁOWIEKU

Całe okresy pokojowego rozwoju, zwykle były poszukiwać człowieka niezwykłego i takiego stawały na piedestale. Czas wojenny przeprowadził i tutaj przemianę wartości.

Pod wpływem twardo i przekonywująco udzielonej nauki, zmieniło się coś w naszych uczuciach i zapamiętaniach. Z mimowiednym lekceważeniem odnosimy się obecnie do wszystkich „niepotrzebnych“ wczorajszych ludzi wyższych, natomiast cenimy nadewszystko człowieka, jako takiego.

Faktem jest, że czasy normalne tęsknią do człowieka anormalnego, czasy zaś anormalne, objawiają doń szczyry wstręt, wymagając jaknajwiększej mnogości ludzi przeciętnych, normalnych — zjawisko, którego powstanie odnosić jedynie do prawa kontrastu, byłoby braniem rzeczy zbyt powierzchownie. Racja tego poczucia sięga o wiele głębiej. Na pozór przedstawia się to jako zastraszające obniżenie poziomu, gdy w istocie okaże się raczej przesunięciem punktu ciężkości.

Współczesny mózgowiec, o wyspecjalizowanych jednostronnie władzach, przesubtelnionej wrażliwości i rozwiniętym zmysle krytycznym, zdobywa się z trudnością na konieczną jednolitość i bezpośredniość czynu. Efekt osiągnięty niewypowiedzianym wysiłkiem, nie odpowiada oczekiwaniom — a ów osobnik rzekomo wyższy, sam w tem ginie lub wychodzi bezpowrotnie złamanym na duchu.

Inaczej tak zwany człowiek zwyczajny, nie przeżarty rdzą hyperkultury, a więc daleko bliższy realnego życia. Odkąd potężny młot Tora, boga wojny, jednym uderzeniem strzaskal dach nad jego głową, człowiek, zaskoczony uderzeniem gromu wśród spokojnego toku swych dni i prac, zadrżał wewnątrz — na widok rozsypujących się ścian domu, zbudowanych tak trwale i tak przemyślnie dla osłony małego szczęścia, jakiego miały strzedz do końca, a oto legły mu u nóg. Bezbronny, osamotniony, stanął wśród gruzów, z głową owianą lecącym huraganem, twarzą w twarz z groźnem, nieubłaganem przeznaczeniem.

Na jego drodze wyrosło ono jak olbrzymia skała. Aby pójść dalej, trzeba się przez nią przerąbać, przebić, zwalczyć! Jakikolwiek uczucia obudziła w nim ta świadomość, czy był to płomienny zapal wyznawcy, czy wściekłość osaczonego zwierzęcia, czy męska rezygnacja — pojął wnet jedno: huczący orkan zmiótł i uniósł wszystko, co bezrozumnie zwał swoim, sama tylko rdzenna jego wola leży mu w rękę, przyległa do dłoni jak kilof robotnika, jedyne narzędzie, jakie mu pozostało. Z nią przystępuje do koniecznego czynu. Jak kruchy żwir sypie się i odpada wszystko, co nabyte, zbędne, przypadkowe. Natomiast ujawniają się granitowe pokłady jego istoty, cała natura gruntu, wszystkie warstwy geologiczne, składające się na tą skorupę, która tworzy nowożytnego człowieka. Człowiek ze zdumieniem odkrywa siebie samego. Rozwijają się utajone zdolności, prężą nieprzeczone siły — odporne lub zdobywcze, zależnie od temperamentu — zachodzą niepojęte przemiany. Ten, który wczoraj nie byłby muchy zabił, odkrywa w sobie zdolność do morderstwa i wkrótce uważa to za rzecz prawidłową, — tamten, głęboko przekonany o swej niezależności, zewnętrznej lub wewnętrznej, czuje się schwyconym w kleszcze zorganizowanej przemocy, co gniecie jak jarzmo i równa jak strychulec, inny natomiast, którego życie upływało w ciasnym kółku drobnostkowych spraw, odnajduje się

wyzwolonym z codzienności i obdarzonym straszliwym przywilejem zdeptania praw i przykazań, nietykalnych jak świętość w bytowaniu normalnem. W tem położeniu odpada odrazu cały balast form, pojęć, myśli, uczuć, które upraszczają się do jednej zasady, natomiast człowiek sięga do owych pra-pokładów — i raz po raz wydobywa z nich istotne skarby ludzkie — jak odwagę, determinację, pogardę śmierci, spistość uczucia i czynu, słowem: charakter.

Przyszedł czas, gdy instynkt zatryumfował, stał się racją do uzyskania najzaszczytniejszego w ludzkiej mowie miana: bohatera.

Są to ciemne i zawikłane procesy psychiczne, nie do wytłómaczenia w swej istocie, równie jak blask słońca, lub siła elektryczności i równie oczywiste. Wystarczyć musi fakt, że bohaterstwo istnieje, że objawiło się niemal jako reguła, że tryska z serc ludzi najpospolitszych, w których źródła jego odnalezione zostały, gdy wszystko inne runęło i imponuje nam dziś jedynie, gdy wszystko inne gruntownie imponować nam przestało.

Na kartach historii, która się rodzi w naszych oczach, my, Polacy, mamy do zapisania bohaterstwa sumę trzykrotną, co wynika nie tylko z tego, że jak stwierdza się raz jeszcze, — Polak jest urodzonym rycerzem, ale i z tej racji, że nad głową jego leci wieniec niewidzialnych sztandarów, krzesząc ogień krwi męźnych.

W tysiącznych momentach i oderwanych epizodach tych walk gigantycznych, giną bez śladu zarówno ludzie jak fakty, w których pierwiastek bohaterstwa przejawiał się może w swym najczystszej kształcie.

Trzeba pamiętać jednak i o tem, że nie wszyscy bohaterowie giną. Wśród niezliczonych opisów pól bitewnych, mniej lub więcej utalentowanych sprawozdawców wojennych, uderza refleksem szczerego przeżycia wrażenie z jakiegoś opuszczonego pobojozwiska, znacznego cichemi, ostygłymi trupami. „Dlaczego paść musieli?“ — kolacze w sercu pytanie, ignorujące wszelkie zagadnienia bieżącej polityki, na rzecz zagadnień wieczystych. Udręczona myśl odnajduje w końcu wykładnik spokoju: „Zginęli, aby odtąd na świecie było lepiej...“ I w serdecznym bólu, dopisuje: „przeklętym niech będzie ten, ktoby o tem zapomniał!“

A więc i ten, który przyjdzie, będzie dłużnikiem tego, który odszedł. Nasuwa się pytanie, o ile idealny ten problem ma warunki wypełnienia. Zanim młode pokolenie dojdzie do steru i do odpowiedzialności, przyszłość i jej kształt należy do tych, którzy z pobojozwiska wrócą — żywi. Ma to swoje głębokie konsekwencje.

W tym płomiennym Ragnaroku, gdzie ginie stary świat i jego bogi — człowiek jutra — to będzie człowiek zwyczajny, człowiek prawdziwy. W odwecie tyloletnim, będzie on zapewne czas długi patrzył bez szczególnego szacunku na przerstające ogół jednostki, ale równocześnie jego poziom będzie nieskończenie wyższy od wczorajszego „zjadacza chleba“. Zajrzał on w oczy sprawom, jakich nie znały pokolenia, na samo dno życia, poznał jego wielkość i jego nędzę. Wyzbyty z wielu potrzeb i złudzeń, dzięki temu przystosowany lepiej do bytowania na odartej, spustoszonej ziemi. Tu i tam wyrosną wnet nowe podniety, świeże i silne, jak młode drzewa, żądne wzrostu. Odprężony z jarzma męki, człowiek ten znajdzie źródło realnej mądrości i woli życia, oceni równowagę sił fizycznych i duchowych, których osiągnięcie dla siebie i przyszłego pokolenia stanie się jego dążeniem. Ta równowaga po naj-

większym wstrząśnieniu, jakie znają dzieje i dusza ludzka — wyda mu się jedynie godnym celem. Dziś żołnierz, jutro obywatel, imać się będzie jedynie zadań mocnych i prostych.

A wśród tych skromnych poczynań, nurzających się

w głębi i ciemności ziemi, założone zostaną fundamenty — przyszłego Akropolu.

Takim — mniemać śmiemy — będzie życiowy posiew bohaterstwa człowieka zwycięzajnego.

Ewa Łuskińska.



## Z OPOWIADAŃ LEGIONISTÓW.

I.

### MARSZ WIOSENNY.

Wiosenny marsz. Byleby im na pięty następować! Aż po Wisłę — jeśli nie dalej. Za nimi — za Nidę, ich śladami. Piaskami, w których nogi po kostki grzęzną, a ciężar plecaków, naboi i karabinów głęboko pochyła picchura. Pot zlewa czoło, żar słoneczny pali kark.

Dalej i dalej!

Co za satysfakcja słyszeć przy wejściu do wsi: „wezora w nocy armaty ich jęchały“ — albo — „patrole ich niedawno tu się kręciły“.

Gorąco. Pragnienie pali. Przy lada kałuży lekarz nasz na gniadej, spasionej kobyle (co taki może wiedzieć o naszym pragnieniu) boje homeryckie stacza z chmurą chłopców, biegnących z manierkami po wodę.

Wokoło wiosna. Moc sadów. Całe wsie w sadach. Jabłonie już okrywają się białem i różowym kwieciem.

Ozimina płynie srebrzystymi falami.

Dalej i dalej! Ku krainie zadumanych, milczących wiatraków, ku Wiśle.

Po kolumnach zrywa się pieśń i leci nad nami jak lopot proporców — wierna, żołnierska pieśń.

Stara, niepozorna kielecka wieś.

Czarne wokoło strzechy. Osiedla murem ogrodzone. W murach bramy — nad niemi we wnękach figuryńki, lub obrazki Częstochowskiej. Białe kwiat wiśni wszędzie: nad murami, nad tajemnymi ścieżynami, po ogródkach i sadach, na ziemi i na niebie. Nad bramą wysoki maszt topoli o ściętej koronie z gniazdem bocianiem na szczycie.

W stodole na boisku, dziadek przesiewa ziarno. Zagadaniem.

Moc ich, aż dziw, że tak onegdajszej nocy uciekali. Niechętnie się biją „za Polskę“ — przemęczeni. Starszyzna bawiła się po wsiach, żołnierze w okopach siedzieli. Dużo ich już poginęło. Nie daleko stąd przedwczoraj mieli oko-

py sypać, lecz rozkaz przyszedł. Wyjechali natychmiast. Nad ranem nadjechali inni z nad Wisły.

Austriacy dobrzy ludzie,

Gdyby tak wojna potrwała dłużej, przejrzałby naród, obudziłby się z ciężkiego snu. A życzliwy i dorodny tu lud, jak ta ziemia wokół kielecka. Wzgórza piaszczyste, słoneczne, niżej w dali niebieskie smugi lasów. Wsie schludne po sadach. Dwory stare, stylowe. Parki gęste, podszyte, chłodem wieczornym i tryłami słowiczymi witające. I nad wszystkim wiosenne, polskie niebo.

„Warto się za taką ziemię bić“ — słowa posłyszane w długim męczącym marszu, pod słońcem, co już żaru nie żaluje.

Dalej i dalej!

Z tą pieśnią najwierniejszą na ustach i z tą chmurą czerwona kurzu, co się ślania i płynie nad kolumnami.



W marszu.

For. T. Langer.

Albo te nasze postoje i biwaki. Składnie i precyzyjnie kompanie za kompanią w rozwiniętym szyku. Ostatnie „bacznosc” i „w kozły bron”. Przed szeregami wyrastają piramidy karabinów. I wkońcu upragniona komenda „rynsztunek złóż!” U stóp kozłów rząd plecaków i tornistrów. Chłopcy wolne i lekkie, jak ptaki. Jednak pomęczona wiara kładzie się przy kozłach. Grupami studyują mapy, śledzą linijki drożyn, któreśmy dotąd w pocie przewędrowali, wypatrują szlak, jaki nas czeka. W szeregi wpadają wiadomości — to substrat studyów naszych nad kartami.

troskiego śmiechu karabinów. Bez serc — bez pamięci! Szlakami zbłąkanych gwiazd i nieznanających wytechnienia zórawi. — Nad luno miast i osiedli. —

Z tajemnicą szatańskiej cierpliwości i obojętności na młodych, postrzępionych skrzydłach ku smutnemu zwycięstwu.

Bez wiary w szczęście, jakby po szczęście.

Zbiórka! — Słowo to o zmierzchu paść musiało, a jednak bieganina, gwałt, pytania urywane — wszystko,



Przez wieś.

Fot. Langer.

## II.

### W NIEZNANE JUTRO.

Nowy lot. Niechaj będzie pierwszym nowego życia szczeblem. Z szaleńczą zawrotnością lećmy od czegoś — i ku czemuś. Lećmy! Niechaj przemiana ściga przemianę. Dzisiaj niech kona w lunach rodzącego się jutra, pełnego nieprzebytych szlaków, słońce i gwiazd niewidzianych nigdy przez nikogo. Możliwość niech rodzi tysiące możliwości, bezlik niespodzianek.

Szlakiem naszym krwawym, ze smutkiem bezdomnych bocianów nad jakieś morze. — Lećmy! — w tajemnicę jutra, w Nieznane. W pamięć nieziszczonych jeszcze snów; w królewską tęczę nieoczekiwania i bezna dziei; w preczystą, zimną baśń zaklęć szpady i bez-

co, jak zamieć śnieżna, pokrywa wszelki ślad. Pośpieszne ładowanie i przypinanie pasów, chlebaków, i plecaków. Karabin na ramię i do szeregu. Na długiej, prostej ulicy kompania w rozwiniętym. Apel.

Na lewo przesubtelny rysunek konarów i gałązek na fioletowej dogasającej zorzy, nad którą smuga seledynu coraz ciemniejszego — jaspisowej kolumnady i bławny bez skazy strop. Ktoś roje gwiazd już zapalił wokoło drobnego miesięczka na nowiu.

Cisza.

Na karabinach oparci czytamy jedyny w roku całym rysunek drzew. Plamy chat poza linią sztachet. Na wzgórzu sylwetka konia przy pługu i człowieka.

Słowa pieśni nad szeregami — jedynej zadumy żołnierskiej. I w tej chwili — w chwili wymarszu na po-

zycę, kartka z kilku słowami prostemi i szczeremi, jak ten wieczór wiosenny, jak ta pieśń żołnierska. Przypadkowo w tej chwili kartka oddana...

Po całodziennym zmierzchu. Gdy wicher po pozycyi szalał i prał śniegiem i deszczem samotną w rowie straż. Przed oczyma w czarnej nocy śmigwały nici śniegu, tworząc siwą zasłonę. Godzina ósma.

Przedemną szereg sylwetek z bagnietami na karabinach, w szynelach — ta noc zamglona, zimna, lękiem dzieciennym przejmująca i w słabym świetle otworu ziemianki naszej — szereg.

I przyciszony ich śpiew. Rozkosz żołnierskiej bezna dziei, modlitwa o jedyny młodzieńczy czyn, hymn o losie najbardziej wspólnym nam i ojcom naszym. Ten refren w mglistej nocy rowem płynący: „Bo taki los dał nam Bóg — — —”

Z tą pieśnią poszli na placówkę. Rozpłynęły się ciemne sylwetki w brudzie i rozpaczy marcowego wieczoru. Poszli. Pieśń zamarła w zawiei jęków, w skowytach wichru.

Marcowej nocy zły czar zawisł nad pozycją.

Jak bosko, jak wygodnie urządziliśmy się na kwaterach! Zapowiedziany był nawet półoficjalnie kilkudniowy odpoczynek po krwawej mordędze ostatniej bitwy. Wtem pod wieczór nagła zbiórka i wymarsz.

Deszcz coraz silniej począł zacinać. Jesienny, wczesny zmierzch i noc. Marsz pospieszny wzdłuż linii na wschód w bladym odbłasku niedalekich pożarów. Kannonada ucichła. Dolatywało chwilami wybuchające kotłowanie karabinów. Po drodze długie kolumny jeńców dziś zabranych.

Echa dziwnie zmiennych nastrojów w kompanii:

Najmilsze te małe chłopaki, co bez jednego słowa, cicho, jak duchy, biegną w tę noc. — Chwilami wylatywały pytania niecierpliwe w stronę przejeżdżających ordynansów: dokąd? — jak daleko?

Linia lun. Nad nią krótkie wykwiwały błyskawice. Po kilkudziesięciu sekundach przyplęwało gruchotanie salw.

— Kwaternistrze przed kolumnę! Nastrój w kompanii nagle się zmienił. Pojawił się śmiech, gdzieś w jakiejś czwórce wypłynęła pieśń. Nerwowcy wpadli w doskonały humor, którego nie mógł skwasić ani godzinny postój w błocie i w mżącym deszczu, ani perspektywa spędzenia nocy sub love. Byle jedna stodoła, byle garść słomy!

Wreszcie rozkwaterowanie. Po omacku. Jakiś sad tajemniczy, wielki. Woń rumianka z pól. Ogromna stodoła i ogromny dom, Ogień. I sen, złodziej najbardziej beztrioskich, dziecięcych godzin.

A jednak gotowość nasza przedziwna. Stopień sentymentu przestrzennego, lub nawet cygańskie zwyrodnienie. Tęsknota za ciągłą zmianą miejsca, za świeżą stodołą i słomą. W nocy jedynym pacierzem jest przypomnienie gotowości: o jakiegokolwiek godzinie... Gdzieś, w coś nieznanie — słoneczna, złota linia życia. Czasem się załamie, czasem skrzywi, by wkrótce tem wyraźniej i słoneczniej popłynąć.

Stanisław Falkiewicz.



## PIOTR RYSIEWICZ: DO MŁOTÓW!

DO MŁOTÓW, BBACIA, DO MŁOTÓW,  
OTO CZAS NADSZEDŁ DO DZIEŁA —  
A NARÓD JESZCZE NIE GOTÓW  
CHOCIAŻ SIE WALKĄ ZACZEŁA..  
DO MŁOTÓW, BRACIA. DO MŁOTÓW!

W PRACOWNI NASZEJ DOŚĆ STALI,  
HEJ, I NIE ZBRAKNIE OCHOTY!  
GDY ŚWIAT POŻOGĄ SIĘ PALI,  
CHWYTAJMY SILNIE ZA MŁOTY —  
W PRACOWNI NASZEJ DOŚĆ STALI!

BEZCZYNNIE CZEKAĆ NIE PORA,  
WIĘC NIECHAJ RAMIĘ SIĘ PRĘŻY  
OD RANA AŻ DO WIECZORA,  
BY NIE ZABRAKŁO OREŻY,  
GDY RUSZYĆ PRZYJDZIE NAM PORA!..

NIE WSZYSCY WSTALI RYCERZE  
CHOĆ RÓG WCIAŻ HUCZY PO LESIE —  
ORZEŁ SWYCH PISKLĄT NIE STRZEŻE,  
SKRWA WIONE PIÓRA WICHR NIESIE..  
GDZIEŻ ONI ŚPIĄCY RYCERZE?!

# W KAPLICY ZYGMUNTOWSKIEJ.



DOSTOJNI WIEKOPOMNEJ SŁAWY MAJESTATEM  
DRZEMIA, NA SEN ŚMIERTELNY ZAKŁĘCI W MARMURZE;  
GÓRA KOPUŁA KWITNIE W SKAMIENIAŁE RÓŻE  
I GŁAZY ŚCIAN KAMIENNYM ROZWIŁY SIĘ KWIATEM.

SPOKÓJ, CISZA I JASNOŚĆ — JAKBY TAM, NAD ŚWIATEM  
Z KRWI, OGNIA I ŻELAZA NIE SZALAŁY BURZE.  
JAKBY TAM CAŁA POLSKA W POSOKI PURPURZE  
NIE LEŻAŁA, POŻARÓW OBLANA SZKARŁATEM.

BAŚNIA, MARZENIEM ZDA SIĘ TEN SZCZĘŚCIA WIEK ŻŁOTY  
NAM, CO BÓL Z PIERSI MATEK SSALIŚMY W KOLEBCE.  
NASZA DOŁĘ WYKUŁY CIĘŻKIE NIESZCZĘŚĆ MŁOTY,

NASZ WIEK STOPĄ ŻELAZNA PO SERCACH NAM DEPCE...  
SZCZĘŚCIE? WIELKOŚĆ?... MY ZNAMY TYLKO ŻAR TESKNOTY,  
JAK TĘSKNIACY ZA SŁOŃCA ŻŁOTYM BLASKIEM — ŚLEPCE!

*Lucyan Rydel.*



ARTUR GROTTER.

POLONIA VIII. — PO BITWIE.

ALE TY, BOŻE! KTÓRY Z WYSOKOŚCI  
STRZAŁY TWE RZUCASZ NA KRAJU OBROŃCE,  
BŁAGAMY CIEBIE PRZEZ TĘ GARSTKĘ KOŚCI,  
ZAPAL PRZYNAJMNIJ NA ŚMIERĆ NASZĄ — SŁOŃCE!  
NIECHAJ DZIEŃ WYJDZIE Z JASNEJ NIEBIOS BRAMY,  
NIECHAJ NAS PRZECIE WIDZĄ, — GDY KONAMY!

J. SŁOWACKI

## LUCYAN RYDEL: WILNO.

## III.

Kościół św. Jana, fundacya pierwotnie Jagielly, lecz właściwie budowa Batorego, który przy nim w obszer-  
nem kolegium osadził Jezuitów. W tem kolegium prze-  
mieszkiwał i rządził niem jako rektor, a w tym ko-  
ściele kazał — Skarga z ambony, która się dotąd za-  
chowała. Są tu jednak wspomnienia i droższe sercu  
polskiemu i o wiele świeższe: kolegium Jezuickie było  
wileńskim uniwersytetem, św. Jan — uniwersyteckim  
kościółem. Tu Mickiewicz, jako młody student, słuchał  
nabożeństwa, przechowała nawet żywa tradycya, wska-  
zująca filar kościelny, pod którym zwykle stawał pod-  
czas Mszy studenckiej. W pobliżu tego miejsca, w ścia-  
nie prawej nawy, umieszczono mu pomnik: bronzowe  
popiersie Gnyskiego w bogatym obramowaniu marmu-  
rowem. O innym, większym, na placu publicznym nie  
wolno dotąd Wilnu ani marzyć.

Obejrzawszy kościół, piękny w proporcjach, w archi-  
tektonicznych szczegółach zupełnie zbarokowany, utrzy-  
many wzorowo — wchodzimy na podłużne podwórze  
gmachów uniwersyteckich. Arkadowy, śliczny dziedzi-  
niec, prawdopodobnie pamiętający czasy Batorego, za-

leńscy, najszlachetniejsze pokolenie porozbiorowe, prze-  
żywali w tych murach „młodość górną i chmurną“ a na  
katedrach uniwersyteckich zasiadali Andrzej Śniadecki,  
X. St. Jundziłł, G. F. Grodeck, Joachim Lelewel uwiel-  
biany przez młodzież, natenczas trzydziestoletni profesor  
historyi; Euzebiusz Słowacki ojciec Juliusza, a póź-  
niej ojczym jego Dr Becu, Gołuchowski, Leon Borow-  
ski, co pierwszy poznał się na młodocianych wierszach  
Mickiewicza i wykrzyknął o nim: „Geniusz, geniusz za-  
błyśnie w naszym kraju!“

Z rozdartem sercem stoi się wśród tych na zawsze  
pamiętnych murów. Polska wiedza, polska cywilizacya,  
polska poezya, chwała polskiego imienia biła stąd  
świetnymi blaskami, więc to ognisko światła stłumić,  
zdusić, zdeptać! Moskiewscy niszczyciele zabrali się do  
piekielnej roboty i postawili na swoim: senator Nowo-  
sileców zjechał zburzyć, co zbudował X. Adam Czarto-  
ryski, kurator naukowego okręgu wileńskiego. Proces  
Filomatów, cała martyrologia najszlachetniejszej mło-  
dzieży polskiej, więzienia, śledztwo, zsyłki w głąb Ro-  
syi a potem w r. 1832 uniwersytet zamknięty.

Została po nim i przetrwała nawet Murawiewa, jedna  
pamiątka: obserwatorium astronomiczne, które się mie-  
ściło w jednej z dwu czworobocznych niskich wieżyc,  
umyślnie w tym celu zbudowanych i sterzących je-  
szcze po dziś dzień nad dachami uniwersyteckiego gma-  
chu. Założone było jeszcze za Stanisława Augusta, gdy  
Akademia była w rękach Towarzystwa Jezusowego,  
Wojski w *Panu Tadeuszu* rozwodząc się nad począt-  
kami obserwatorium wileńskiego, opowiada, jak to

...Puzynina mądra i bogata  
Pani, oddała dochód z wioski dwiestu chłopów  
Na zakupienie różnych szkielek i teleskopów.  
Książd Poczubut, człek sławny, był Obserwatorem  
I całej Akademii naówczas Rektorem,  
Przecie w końcu katedrę i teleskop rzucił,  
Do klasztoru, do cichej celi swej powrócił  
I tam umarł przykładnie. Znam się ze Śniadeckim,  
Który jest bardzo mądrym człowiekiem, choć świeckim...

W jednym skrzydle uniwersyteckiego gmachu jest  
muzeum wileńskie i biblioteka, dla publiczności jednak  
niedostępna. Obie te instytucje są właściwie szczytkami  
tego, czym były. Muzeum zawdzięcza swój początek  
Eustachemu hr. Tyszkiewiczowi, który zgromadził i na  
publiczny użytek ofiarował wspaniałe swoje zbiory. Ale  
od tego są polskie pszczoły, by miód im podbierać mógł  
bartnik rosyjski. Najcenniejsze polskie pamiątki i za-  
hytki wywieziono do Rosyi, wielką salę muzealną na  
dole zeszepeciono ohydnie bizantyńskimi malaturami,  
którym ustąpić musiały miejsca piękne freski dawniej-  
sze. Na ścianach panoszą się liche portrety carów, na-  
dętych i wyorderowanych i na wieczną pamiątkę por-  
trety najśroźszych Litwy „obrusietieli“. Jest przede-  
wszystkiem gnębiciel Unii, za apostazyę od niej na  
biskupstwo wyniesiony Józef Siemaszko, sławny kat  
Matki Makryny Mieczysławskiej i podwładnych jej  
mińskich Bazyljanek, a dalej ze złotych ram wysze-  
czera ohydną mordę rozjuszonego buldoga sam wielki  
Murawiew-Wieszał.



Dziedziniec uniwersytetu i obserwatorium.

Drzew. Muz. Czap.

rosły drzewami, dziś pusty i głuchy, przed stu laty roił  
się od młodzieży, która swe imiona związała na wieki  
z dziejami polskiej poezyi: on, Mickiewicz, chłopcem sze-  
snastoletnim, świeżo przybyły ze szkół nowogrodz-  
kich, Tomasz Zan, Czczot, Jeżowski, Franciszek Ma-  
lewski, syn ówczesnego rektora, Onufry Pietraszkiewicz,  
Odyniec, Domeyko, ci wszyscy Filomaci i Filareci wi-

Tego samego dnia przed wieczorem szedłem z moimi  
przyjaciółmi wileńskimi przez dość obszerny plac,  
gdzie na środku czernieje pomnik jakiś, odlany w ciem-  
nym spiżu, otoczony wysoką żelazną kratą, a przy niej  
sługa z bagnietem na karabinie trzyma straż „hono-  
rową“. Podprowadzili mnie bliżej — patrzę: na wy-



niosłym cokole kamiennym stoi widmo czarne... Murawiew!

Nie pomnę już jak się nazywa rzeźbiarz — to pewna, że talent miał, nawet nie pośledni, talent szczerze naturalistyczny. Jego Murawiew jest okropny; taki musiał być. Krew ścina się w żyłach, gdy człowiek wpatrzy się w tę straszliwą twarz, okrągłą, płaską, o niskiem bawolem czole, krótkim, tępych nosie, nasroszonych krzaczastych brwiach i wąsie przystrzyżonym nad grubemi, odętymi wargami. Bydłecę jakieś okrucieństwo, równie bezmyślne jak nieublagane, przebija z całej tej postaci. Ubrany w długi sznyel, obie ręce wsparł przed sobą na lasce, której gałkę ściskają krótkie, grube, jakby obrzękłe palce. Nagle przypomniało mi się wrażenie z dzieciństwa — przerażające: w menażeryi znalazłem się oko w oko, na szczęście przez kratę — z hieną. Ta krata koło pomnika, ten żołdat z bagnetem, jak pogromca dzikiego zwierza, wydają się tutaj czemś rzeczywście niezbydnem, bo nużby Wieszatel kiedy zlał z piedestału!...

Moi Wileńczycy opowiadają mi, że jakiś Moskal przyprowadził tu pod pomnik swego synka i pokazał mu narodowego „gieroja“, lecz skutek był ten, że dzieciaka trzeba było czempredzej odprowadzić, bo ze strachu nie mógł się utulić w płaczu.

Ten pomnik wszędzie byłby straszny; tutaj, w Wilnie jest wręcz niesamowity, może się w nocy przysnąć. Jeśli im się zdawało, że trzeba jeszcze upamiętniać w sercach polskich wspomnienie Murawiewa, to istotnie cel został osiągnięty: ten spizowy bohater odpowiada w zupełności pojęciom, jakie o nim ze zgrozą tradycya polska przekazuje z pokolenia na pokolenie.

Jest w Wilnie także i muzeum Grafa Michajła Mikołajewicza Murawiewa; z największym pietyzmem zebrali Moskale wszystkie pamiątki Murawiewowskich rządów na Litwie: wyroki śmierci, fotografie powieszonych, opisy i rysunki wszelkich okrucieństw itd. Poprostu jest to przez rosyjskie władze najskrzętniej zebrany i najdokładniejszy obraz litewskiej martyrologii a zarazem najcięższy akt oskarżenia przeciwko Wieszatelowi w obliczu historii. Cynizm rozbijający swoim bezwstydem! Chciałem koniecznie do muzeum zwiedzić, ale mi na to niestety zabrakło czasu.

Wieczór spędziłem niezwykle miły i zajmujący w gronie wileńskich „Szubrawców“. Niktby nie przypuszczał, że słynne przed stu laty „bractwo satyryków z profesyi“ — jak Szubrawców określił Maurycy Mochnacki — istnieje w Wilnie, wznowione po długiej przerwie. — W domu jednego z najwybitniejszych dziś Wileńczyków, osobistości głośniejszej na całą Polskę — gromadzą się w pewne dni miesiąca stali goście, należący do „Towarzystwa Szubrawców“; zachowuje się przy tem cały starodawny ceremonial słynnego bractwa, są nawet w użyciu insygnia, używane przez dawnych Szubrawców, do których za Mickiewiczowskich czasów należeli — jak wiadomo — Emanuel Lachnicki, Kazimierz Kontrym, Michał Baliński a nawet sam wielki Śniadecki. Od 1816 r. wydawali oni w Wilnie *Wiadomości Brukowe*.

Na zebraniu nowoczesnych Szubrawców miałem najlepszą sposobność zaznajomienia się z całym umysłowym światem wileńskim i żywym tętnem duchowego życia wileńskiego.

Na drugi dzień słońca przynajmniej ustała, lecz niebo zaciągnięte było chmurami a zimny wiatr przejmował do kości. Jeden z moich nieocenionych Wileńczyków

skreślił ze mną z ulicy Niemieckiej w samo wnętrze Czarnego Miasta, w istny matecznik żydowski, gdzie pokazał mi bardzo starą i zajmującą synagogę. Zwłaszcza ciekawy jest fronton budynku, cały postrzępiony w ażurowe galeryjki kamienne. Wnętrze nieco podobne do starej Kazimierzowskiej Bożnicy w Krakowie, ma piękne sklepienie gotyckie i posiada wiele sprzętów starodawnych. Oczywiście przed bóżnicą zebrał się tymczasem krzykliwy, szwargocący tłum, w którym podziwiać można było postaci wręcz fantastyczne, jakich nie widzi się już nawet po miasteczkach galicyjskich.

Z trudem przedostaliśmy się przez te zgiełkliwe rzese i mój towarzysz po chwili wyprowadził mnie potem — nie pomnę już, na jaką ulicę. Weszliśmy do niepozornego domu, bez stylu, bez wybitnego charakteru. Podwórko małe, dość brudne, mój Wileńczyk wskazuje mi w oficynie na dole dwa niskie okna.

— Tu mieszkał Mickiewicz...

Jest w mieście kilka tych studenckich mieszkań poety, który za swoich lat wileńskich przeprowadzał się parokrotnie. Żywa tradycya zna i czcią je otacza, jak wszystko, co związane z jego pamięcią. A z pamięcią Mickiewicza wiąże się tutaj miejsc tyle!



Miniatura A. Mickiewicza, którą ofiarował M. Wereszczakównie. Oryg. w Muz. Narod.

Niebawem znaleźliśmy się w jednym z nich i to najpamiętniejszem. Tam, gdzie ulica Ostrobramska odłamuje się w bok od Niemieckiej, niemal nawprost św. Kazimierza, zamienionego na prawosławną cerkiew i zeszczonego bizantyńskimi bohomazami na barokowym szlachetnym froncie — jest gmach jakiś spory, do którego przylega kościół. To Bazylianie.

Dobijamy się do bramy pomalowanej na niesłychany pawio-zielony kolor. Otworzyła się; przed nami długie przejście wśród murów, które prowadzi na spory dziedzińczyk brukowany. Z boku drzew kilka, w głębi na lewo kościół, z prawej — przytykający do kościoła długi ponury gmach, dla odmiany pomalowany na brudno-żółto: dziś tam seminarjum prawosławne. Jakis pop siwobrody, na parę słów rosyjskich mego towa-

rzysza, odpowiada laskawem skinieniem. Wchodzimy do gmachu. Bielony korytarz, potem na piętro schody drewniane, zużyte, wpółciemne i znowu korytarz, na który wychodzą drzwi licznych cel, niegdyś klasztor-nych.

Więc to tutaj! III Część Dziadów rozgrywa się w tym „klasztorze XX. Bazylianów, przerobionym na więzienie stanu”. Miejsce, gdzie stoję w tej chwili, to ów korytarz w Akcie I. Jak łatwo sobie uprzytomnić wszystko: „straż z karabinami stoi opodal — kilku więźniów młodych ze świecami wychodzą z cel swoich. Przebiegam okiem szereg tych drzwi zamkniętych, niskich, w obramieniach kamiennych, potynkowanych czarno. Z tych cel wychodzili: Tomasz Zan, X. Lwowicz, Żegota Domeyko, Feliks Kōlakowski, Freyend, Suzin, Jan Sobolewski, Jankowski i wszyscy inni. A cela Konrada? Przez pusty korytarz, dudniący odgłosem naszych kroków, idziemy ku celi ostatniej, najbliższej Bazylińskiego kościoła, skąd wówczas, w noc Bożego Narodzenia przenikała poprzez mury kolenda: „Anioł pasterzom mówił...” Za temi drzwiami, w celi więziennej HIC NATUS EST CONRADUS. Tam on miał swoją „chwilę przeznaczoną”, tę „chwilę Samsona”, gdy „duszą w swoją Ojczyznę wcielony” pasował się z sobą i z Bogiem!

Drzwi zamknięte — wejść nie można... Prawosławne seminaryum duchowe — jakiś pop teraz tam mieszka.

Schodzimy na dół i bocznem wyjściem do ogrodu. Sad zaniedbany, grusze, jabłonie rozpościerają czarne, konwulsyjnie powyłamywane, jeszcze nagie zupełnie konary; wzdłuż ścieżek sterczą krzaki agrestu i porzeczki. Z dołu poprzez gałęzie patrzę tam, w górę, w okno celi Konrada zamknięte. A potem wzrok biegnie w przeciwną stronę, poprzez ten ponury, pusty sad, zamknięty wysokim, odrapanym murem, po za którym w oddali widać starą dwupiętrową kamienicę. Oto przedemną wszystko, na co patrzył miesiącami przez całą tę swoją więzienną jesień i zimę.

Wychodzimy na ulicę. Towarzysz mój ukazuje mi w dali dom jakiś w sąsiedniej ulicy.

— Tam, na pierwszym piętrze zamieszkał Mickiewicz po swem uwolnieniu dnia 21. kwietnia 1824. U Bazylianów był zamknięty sześć miesięcy, od 23. października 1823 r. Z tego domu wyjeżdżał na wygnanie.

Odyniec opowiada, jak tego dnia (znowu 23. października) w Ostrej Bramie „Adam słuchał Mszy na galerji, klęcząc z twarzą ukrytą w dłoniach. Twarz była potem blada, ale najzupełniej spokojna...” Wilna, Litwy nie miał już nigdy zobaczyć — jechał do Moskwy.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie  
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie

a w kibitce wygnaniec, zmuszony

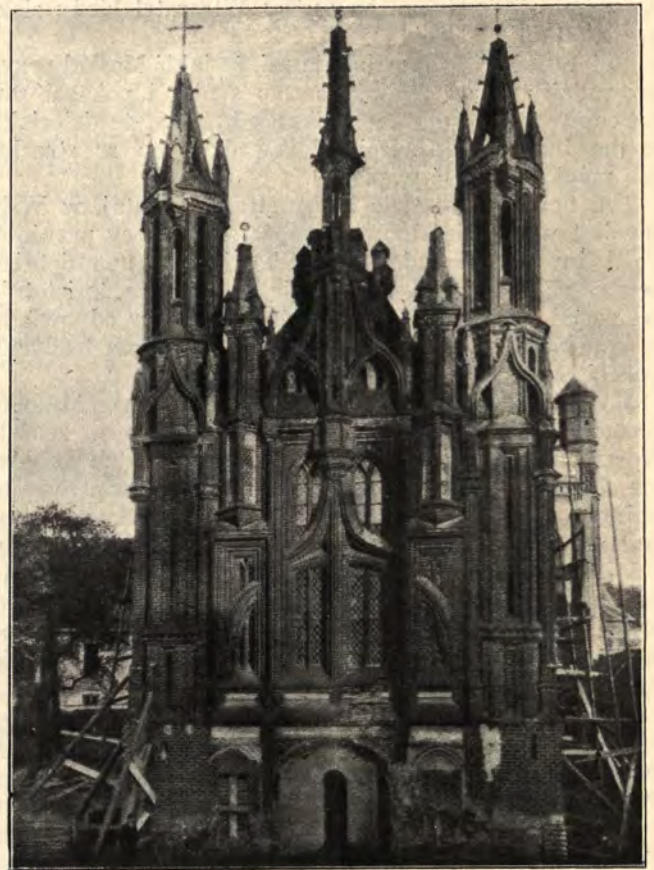
puścić się w kraj świata  
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,  
Walcząc z ludźmi i losem...

Jest w Wilnie człowiek obdarzony niepospolitem poczuciem artystycznym, który z fotografii umiał zrobić prawdziwe narzędzie sztuki — p. Jan Bulhak. Rzadko kto zdoła, jak on, wynaleźć najkorzystniejszy punkt widzenia, wypatrzeć niezwykle piękne oświetlenie i uzyskać na malówce tak po malarsku przedziwnie skomponowany obraz. Arcydzielami w swoim rodzaju są jego zdjęcia z Wilna i okolicy, pełne poetycznego uroku, zdumiewające bajecznymi wprost efektami słone-

cznymi lub księżycowymi. Można sobie wyobrazić, jak taki artysta, rozmiłowany w swoim Wilnie, potrafi je przyjeźdnemu pokazać z najbardziej malowniczej strony.

Pod jego przewodem poszedłem do słynnego kościoła Św. Anny, który jest najpiękniejszym zabytkiem gotycyzmu w Wilnie. Zbudowała go księżna Anna Witoldowa; Puhrbach, architekt, prawdopodobnie krzyżacki, stawiał tę śliczną, choć niewielką świątynię cztery lata, od 1398—1402, a zbudował ją z cegły ciemno-wiśniowej, o poważnym, głębokim kolorze.

Mój cicerone prowadził mnie na podwórze jakiegoś starodawnego domostwa księżego, wiedzie mnie na drewniane ganki od tyłu, skąd istotnie roztacza się bardzo malowniczy widok na fasadę Św. Anny i na stojący nieco w bok za nią kościół pobernardyński, z piękną, gotycką dzwonnica.



Kościół św. Anny.

Fot. z nat.

Mało widuje się architektonicznych klejnotów tej piękności, jak fasada Św. Anny, cała zornamentowana od góry do dołu ceglanymi żebrami, które zataczają się lukowato, przecinają się i zaplatają, tworząc jakąś fantastyczną, dziwnie harmonijną a bogatą koronkę, której oka zaszklone są kościelnymi oknami. — Z tych ceglanych żył, przeplatanych misternie, wystrzela wyniosły szczyt, zakończony smukłym kwiatonem gotyckim. Dwie lekkie, przejrzyste wieżyczki osmioboczne, poprzez które prześwieca tło nieba, ujmują ten cudny fronton z obu stron jak ramy. Całość, w tym rodzaju jedyna, śmiała, wytworna i nadzwyczaj oryginalnie pomyślana, przypomina lekkością form potrosze gotyk angielski, przepychem potrosze hiszpański, a przecie jest najzupełniej sama sobą. Najlepiej świad-



Dom Perkuna w Kownie.

Fot. z nat.

czy o architekcie, że umiał z materiału tak pospolitego, jak zwykła cegła, wydobyć formy tak szlachetne.

W pełnym blasku słońca, które po kilku ponurych dniach wyjrzało nakoniec z poza chmur, i mocnymi

cieniami podkreśliło lotne i giętkie linie na fasadzie, Św. Anna wyglądała rzeczywiście przepysznie.

Z Puhrbachowskiego kościoła — niestety została właściwie tylko ta fasada. Wnętrze uległo z biegiem wieków doszczętej niemal przebudowie; zostało tylko sklepienie i zasadnicze proporcje architektoniczne. Zresztą nie ma nic w tym kościele, co by miało znaczenie artystyczne.

Wychodzimy z kościółka. Jeszcze jedno spojrzenie na przecudną, w tej chwili słońcem oblaną, jego fasadę i uwaga jedna, która się musi nasunąć: w tym samym zupełnie rodzaju i stylu jest na Litwie drugi zabytek gotyku ceglanego, szkoda tylko, że bardzo zniszczony: słynny „dom Perkuna“ w Kownie. Z jego frontonu został jedynie bogaty szczyt, który charakterem swoim żywo przypomina Św. Annę wileńską i widocznie pochodzi z tych samych czasów. Być może, iż nawet ten sam architekt, Puhrbach, stawiał także ów dom kowieński.

Tuż poza Św. Anną, cofnięty nieco w bok i od niej bez porównania większy, wznosi się kościół Bernardynów — lub raczej po-bernardyński, oczywiście bowiem i ten zakon, jak wszystkie inne, rozpedzili Moskale. Kościół należy do starszych w Wilnie: fundował go Kazimierz Jagiellończyk w r. 1469, dokonał zaś budowy ojcowskiej Zygmunt I. Wspomniana już dzwonnica jego ceglana, ośmioboczna, niezawodnie należy do najpiękniejszych dzieł gotyckich na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

Wnętrze kościoła ciekawsze jest i piękniejsze, niż jego zewnętrzna architektura. Wprawdzie prócz kilku dobrych nagrobków w stylu odrodzenia, żadnych tam niema wybitniejszych dzieł sztuki, ale szczególnie piękne są sklepienia gotyckie, t. zw. kryształowe, czyli jakby je można inaczej określić: lamane w drobne pola trójkątne, wklęsłe i wypukłe naprzemian. W Krakowie jedynym bodaj okazem tego rodzaju są kryształowe sklepienia w krużgankach Biblioteki Jagiellońskiej. — Może jeszcze piękniejsze niż w samym kościele bernardyńskim jest sklepienie takie w jego zakrystyi.

## FRANCISZEK PIK: CEL.

— Nie widzę powodu zapuszczania się w badanie początków i celu naszego bytu! — mówiła do swej sąsiadki drobina bromku srebra tkwiąca w żelatynie płyty fotograficznej. — Świat jest to ogromna, bliżej niezbadana płaszczyzna, sięgająca na wszystkie strony w „CZARNY PAPIER“, czyli nieskończoność, a każda z nas ma stałe swoje miejsce, od wieków wyznaczone przez „WIELKĄ CIEMNOŚĆ“, jedyną, dobroczynną, niepodzielną i ostateczną przyczynę wszystkiego co istnieje. Istnieją zaś tylko dwie rzeczy na świecie: My i żelatyna. Ta ostatnia jest stworzona dla nas. Oto wszystko, co wiedzieć można... reszta jest głupstwem.

— A jednak! przypuścić możemy, że był czas, kiedy zgola inaczej działało się pod CZARNYM PAPIEREM... mógł istnieć czas, kiedy co?

— No... kiedy co?

— Kiedy nie było nawet samego CZARNEGO PAPIERU!

— Milcz!

— Być może, iż nawet nasz stan obecny, wytworzony przez WIELKĄ CIEMNOŚĆ, nie jest odwiecznym, i jedynym, a także nie jest ostatecznym i definitywnym... być może, że przedtem... niezmiernie dawno, w toniach przedwieczności istniało coś całkiem innego... coś...

Zamilkła, nie śmiejąc dalej snuć przypuszczeń, pewna zresztą, że nie znajdzie zrozumienia sąsiadki.

Tak się też stało.

Ortodoksyjna interlokutorka, nie mogąc się odwrócić od buntowniczkich, ni oddać, zamilkła na znak wzgardy. Zlorzeczyła w ciszy WIELKIEJ CIEMNOŚCI za to, że umieściła ją obok tej waryatki, na całą wieczność skazała na to okropne sąsiedztwo i pozbawiła rozkoszy harmonijnego, spokojnego życia pośród równych sobie pojęciami i charakterem.

Z nieznanych źródeł zrodzone, niewiadomo jak i przez kogo dalej snute, płątały się wśród statecznego zbiorowiska drobin, istot jednakich z pozoru, rządzących się absolutną oczywistością i nietykalną uznających równość, niejasne, mgliste legendy o rzeczach nadzwyczajnych, przekraczających rozum, nie podległych prawom normalnego spostrzeżenia... słowem głupstwa!

Legendy owe, nazywane przez niektórych „wspomnieniami“, mówiły o początku PŁYTY i jej stopniowych przemianach, zanim wraz z istotami na niej osiadłymi stała się tem, czem była obecnie. Niby wątle cienie snuły się klechdy o słodkim, czerwonym, łagodnym spojrzeniu innego boga, boga, który istniał dawno, dawno, przed narodzeniem WIELKIEJ CIEMNOŚCI,

który wisiał wysoko w przeraźnej dali, kędyś poza dziesiętą nieskończonością i mówiły, że to on, ten bóg jest stwórcą PŁYTY i wszystkiego, co się na niej znajduje. W on czas, WIELKA CIEMNOŚĆ nie istniała jeszcze w obecnej swej formie, kształtowała się dopiero. Władzał zaś dobroczynny, niepojęty i słodki bóg: CZERWONA LAMPKA. Ale z biegiem czasu zaszły zmiany. WIELKA CIEMNOŚĆ rozrósłszy się niezmiernie, z potężnym szumem, dnia jednego oblała świat i w jej czarnych falach zatoneło dobroczynne bóstwo. Na znak tego zwycięstwa ciemności, legł na świecie potężny demon, CZARNY PAPIER i nastąpiwszy potężną swą stopą na zdrętwiałą ze strachu PŁYTĘ, rozkazał nazywać siebie Nieskończonością. Był to jakby wielkorządca nowego boga, absolutny, jedyny i nieodpowiedzialny tyran. Oznaczył granice istnienia i zakazał myśleć o czemkolwiek poza sobą, zabiwszy wszelką możliwość badania... obojętny na urągliwe pogwary i chybotliwe marzenia, legł spoczywać na zdobytym świecie. I zdawało się, że spoczynek ten trwać będzie wiekiście.

Gdzieś ponad nim, o czem wiedzieć jeszcze pozwalała wiedza urzędowa, w niepewnej dali, trwała WIELKA CIEMNOŚĆ, przyczyna wszechrzeczy, jako taka jedyna, odwieczna, niepodzielna i wyłączna. Zaś idea boga czerwonoookiego nikła z wolna, jawiąc się już teraz tylko w marzeniach.

Tak głosili poeci.

Ale nikt ich nie chciał słuchać.

Wiekowe doświadczenie przeczyło wszelkim zmianom i przemawiało silniej do umysłów. Było faktem. Narzucało się jako prawo natury, przez samo swe istnienie udowodnione.

Zezłoszczona sąsiadka marzycielki, rozpowiadawszy pobliskim o przypadłościach mózgowych biedaczki, rozpoczęła się tak w elokwencji, że zapominając o zaprzysiężonej pogardzie, przerwała milczenie:

— Zaprawdę moja droga, mówi mi głos wewnętrzny, ty właściwie nie należysz do naszego zbiorowiska. Ty, wprost, myślę, dostałaś się do nas tylko przypadkiem. Tak! Tak! Widzę to jasno! Spadłaś tu do nas z innego świata (o ile są światy inne). Ha, ha, ha! Bardzo być może, że gdzieś w przestrzeniach, pod samym CZARNYM PAPIEREM wiszą zwaryowane drobiny, przez Opatrzność wykluczone z życia, dla dobra naszej PŁYTY. Niezawodnie spadłaś stamtąd i utkwiałaś pośrodku nas! Nie wiem tylko, czemu cię złośliwy przypadek rzucał właśnie koło mnie. To prawdziwe nieszczęście!

Zgromiona, milczała długo. Wreszcie zaczęła zicha:

— Nie gniewaj się moja droga! Wybacz, że cię może

nudzę. Ale radabym zapytać jeszcze o jedno. Tylko o jedno!

— Mów! — odsapnęła zapytana, rada, że ją proszą o pouczenie. Uczyć to bardzo przyjemne, to pochlebia.

— Powiedz mi, jaki jest tedy cel naszego istnienia?

— Cel?

— Tak. Taki rozumny sens życia. Wszystko wkolo ma cel. Tedy jaki jest nasz cel?

Zaległa cisza. Wreszcie powiedziała nauczycielka:

— Muszę uchylić to pytanie. Znam tylko samo życie. Wszystko, co ma cel, ma ten cel dla życia. Jeżeli zaś samo życie ma cel jaki, to celem tym jest tylko ono samo. Zrozumiałaś?

— Nie.

— Spodziewałam się tego. Nie znasz filozofii.

— Myślę tak: Czy my kiedyś staniemy się czemś wyższym, i czy żyjemy poto, aby się kiedyś tem stać?

— To nie jest żadna filozofia moja droga! To się nazywa *circulus vitiosus*! Rozumiesz? To jest błędny syllogizm, czyli inaczej mówiąc głupstwo! To nawet nie jest żadna kwestya, bo taka kwestya wogóle nie istnieje. Czemś wyższym? Phi! Najwyższym poznawalnym jest CZARNY PAPIER... Czemś wyższym? No powiedzno mi moja droga, jak sobie wyobrażasz to „wyższe“? Czem chciałabyś zostać? Powiedz, a śmiało, mam trochę czasu zbędnego! Milczysz?... jeszcze milczysz... Czyżbyś nie miała do mnie zaufania?

Nie było odpowiedzi.

Po chwili dopiero ozwała się pytająca:

— To prawda. Nie jestem w stanie określić formy bytu innej jak nasza. Ale czemuż ja to czuję? Dlaczego tęsknię? Czy tęsknić można za absurdalnym, za niemożliwym. Czuję...

— Oczywiście! I ja też czuję... — przyznała mentorka.

— Naprawdę! A co? — spytała rozkosznie zdziwiona.

— Czuję, że mi bardzo dobrze w żelatynie! Wygrawsz sprawę, sapnęła z ukontentowania, a na jej powierzchni pojawiło się coś niby uśmiech satysfakcji.

Taksamo sądził ogół.

Niewidzialna WIELKA CIEMNOŚĆ i najwyższe z poznawalnych CZARNY PAPIER, oto wszystko. Marzenia i przecucia... oto nic.

— Czyż to prawda, że jestem waryatką? — pytała się samej siebie nieszczęsna drobina bromku srebra. — Czyż rzeczywiście wszyscy, na całej PŁYTCIE myślą tak, jak to słyszałam, a tylko ja jedna... tylko ja jedna... Tak, tak... to jasne...

C. d. n.



## LISTY Ś. P. KRAKA-DUDZIENCA.



Ś. p. Krak-Dudzieniec.

Dnia 30. czerwca 1915 roku zginął pod Tarłowem, w ziemi sandomierskiej podporucznik I-go szwadronu kawalerii Legionów, Stefan Krak Dudzieniec.

Poległ śmiercią bohaterską w ataku na okopy rosyjskie we wsi Bidziny.

Oto co pisze dnia 3. lipca 1915 o nim Wacław Sieroszewski:

„Stefan nie żyje... Był mężnym człowiekiem, dzielnym żołnierzem, dobrym towarzyszem broni.

Kilka dni przed śmiercią, w okolicy pod Bidzinami, wpadł pierwszy w okopy moskiewskie. Obecnie spoczywa na wiejskim cmentarzu w tychsamych Bidzinach, których przed Moskalami bronił...

Nie tylko ja, ale wszyscy towarzysze broni, poczynając od rotmistrza, a kończąc na podwładnych Stefanowi, żołnierze — przyjaciele i koledzy, łączymy się w bólu i smutku po Jego stracie“.

Mężną, szczerą polską duszę Kraka malują pięknie listy jego, pisane z pola walk do rodziny. Przytaczamy z nich wyjątki:

Kielce, dnia 8/IX 1914.

„...W obliczu wroga zapomina się o wszystkim: o swych ambicyjach, o pewnej skłonności każdego człowieka do krytykowania, o wrodzonym Polakom anarchizmie. Czuje się, że jeno żelazna dyscyplina może uczynić z bandy, ciągle napływającego ochotnika, karną masę, zdolną do walki i zwycięstwa. I to pozwala człowiekowi lekko znosić nawet pewną przesadę w okrawaniu indywidualnej wolności...“

„...Często po 18 godzin na dobę siedzimy na koniu, uganiając się za Moskalami, którzy wieją jak wściekli. Nigdy jeszcze nie czułem się tak szczęśliwy i w swoim żywiole. Obecnie nie nazywamy się już „patrolem konnym“, a oddziałem konnym ob. Beliny. — Wyszło nas z Krakowa ośmiu, a teraz jest ośmnastu. Takich morderczych chłopów trudno w świecie znaleźć. Dobrali się setnie. W takiej kompanii to i do piekła możnaby zajść. — Jednym słowem piękny jest świat!“

„...O polityce zapomniałem z kretesem. Machnąłem ręką na wszystko. Byle walczyć i nie tracić celu z przed oczu. I tak być musi. Czasy takie, że walczyć jeno należy, pozostawiając reszłę losowi i innym ludziom...“

Rajbrot, d. 15 stycznia 1915.

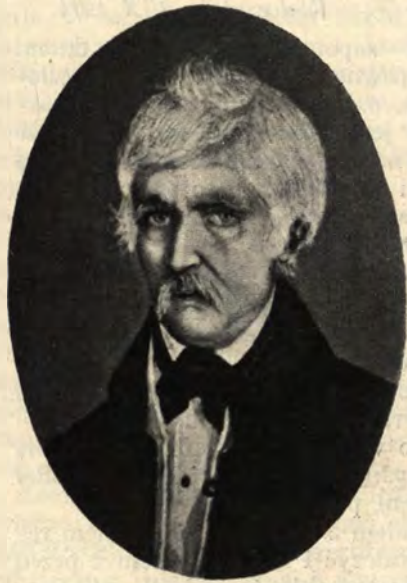
„...Jesteśmy przygotowani wcale nie na wawrzyny jakieś, nie na miano bohaterów i spokojne życie w atmosferze szacunku. Wiemy jedno: trzeba walczyć, by wskrzesić imię polskie, trzeba walczyć, by ratować honor narodu i jego moralność, która w atmosferze niewoli moskiewskiej bardzo się jakoś wykoszlawiać i paczyć poczęła. Trzeba walczyć, by pokazać, że żyjemy i jesteśmy. No i walczymy, a reszta do innych należy. Patrzymy zaś spokojnie w przyszłość, bo wiemy, że ze swymi sumieniami jesteśmy w porządku. A dalej? Będzie co Bóg da...“

Z nad Nidy, 8 maja 1915.

„...Kawalerię naszą przeznaczyci do pełnienia służby w okopach. Co ośm dni inny szwadron wlaźł do dziur i nudził się, obserwując jeno z daleka Moskali. Nawet strzelać nie wolno było, żeby nie zakłócać im spokoju. Toteż chłopcy się wściekali. Dopiero w ostatnich dniach działalność na linii mocno się ożywiła. Mam wrażenie, że lada dzień pójdziemy naprzód. Kazano się spakować i być gotowymi do drogi. Czasby już największy, bo choć tu dobrze, jak w raj, ale przecie nie po to człowiek poszedł na wojnę, aby się wylegiwać i zachwycać pięknem wsi polskiej na wiosnę. Bo też tu pięknie teraz doprawdy. Taka moc światła, zieleni, powietrza i kwiatów. Przed oknem mam rzeczkę, wiecie, taką niefałszowaną: z wierzbami, trzcina i orkiestrą żabią, a dalej łąki i pola. Cicha i spokój, że wprost trudno uwierzyć, aby to było jeno kilka wiorst od linii. Daleki huk armat wydaje się odgłosem grzmotu. Dobrze nam więc: zaciśnię i miło, a ludność bardzo serdeczna, zresztą czują oni sami, nie niszczyć ich przyszłości, a pomagać i ratować. Konie nasze obrobiły pola na milę wokół. Dzięki im, chłop pozbył się zmory, co mu spokoju nie dawała; co będzie na wiosnę? To też weselej patrzy na świat. Nie czuje się przeto człek wrogiem wśród swoich. A jednak chcielibyśmy ruszyć stąd. Pomyślcie jeno, jakieby to piękne były teraz patrole! Co? Aż dusza skacze na wspomnienie“.

# PRZEZ PIĘĆ POKOLEŃ

1768—1794.



Czesław 1775—1858.

Stolnik łukowski, Jan Odrowąż-Pieniążek, niedługo z Pułaskim w Konfederacji Barskiej bił się z Moskalami, bo ciężko ranny, do domu powrócić musiał. Pięciu miał synów.

Najstarszy Jacek, był majorem wojsk polskich, gdy wybuchło powstanie Kościuski. Głośno zabrzmiało po całej Polsce echo przysięgi Naczelnika, złożonej na krakowskim rynku, więc rwały się gorące serca do boju.

Młodszy synowie pana stolnika: Jan Kanty i Czesław pokłonili się ojcu, o błogosławieństwo prosili, ze tajni konie wybrali najlepsze i do Kościuski się sposobili, by stanąć obok najstarszego brata w obronie Ojczyzny.

Ojciec pobłogosławił, uzbroił; matka, Magdalena z Wasilewskich, zawiesiła synom na piersi blachę z N. Panną Cęstochowską i rzekła po spartańsku:

— Za Ojczyznę i śmierć miła!

Dosiadali jeź koni, gdy ośmnastoletni

chłopak kredensowy, sierota bez ojca i matki, Jan Staszak, rozbeczawszy się rykiem, objął pana za nogi i wołał:

— Ja pójdę z paniczami, żeby im się nie stało co złego. Jasnie panie! puście mnie z paniczami.

Pan stolnik podniósł chłopaka, uściskał, pobłogosławił, trzeciego konia wyprowadzić kazal.

Już po bitwie Raclawickiej dotarli do obozu pod Polańcem, a wnet potem otrzymali chrzest bojowy pod Szczekocinami. Jana Staszaka ogarnęli jakoś kozacy Denysowa, i już pod ich spisami z konia się staczał, gdy pan Czesław dopadł z kilkoma towarzyszami i chłopca szczęśliwie wyrwał. Szli z Naczelnikiem wszędzie aż do Maciejowic!

Z ciężką boleścią wrócili do domu, bo brat Janek, major poległ pod Maciejowicami, Naczelnik w niewoli, a Polska w pogromie!

Pan Czesław osiadł na gospodarstwie w ziemi Sanocekiej, pod Tyrawą Wołoską, w Stańkowy, którą mu ojciec wyznaczył, a Jan przy nim pozostał jako starszy lokaj, ale uważany za towarzysza broni.

Swatano pana Czesława, do żenienia nakłaniano, ale mawiał:

— Nie czas na wesele, gdy Polska umarła.

Namawiano go do Legionów, do Napoleona, ale się wzbraniał, powtarzając:

— Gdy Kościuszek tam będzie i ja pójdę zaraz.

Natomiast starszy brat Czesława, Jan Kanty wyruszył do Legionów i zginął na wyspie Haiti w r. 1804.

Trwała lat kilka ta samotność pana Czesława, aż wreszcie serce się zbudziło ku miłości i ożenił się z Lucyą Wyczółkowską, córką pana Benedykta, właściciela Stróż i Gwoźnicy. Do Gwoźnicy pod Rżuzowem przeniósł się, dostawszy ją w posagu po żonie. Wychował szczęśliwie trzech synów i trzy córki. Lata mijaly na gospodarce skrzętej, zapobiegliwej, dzieci dorastały, aż nadszedł rok 1830.



Stanisław 1809—1894.

Rok 1831.

Zapłonęły w r. 1830 serca narodu zapalę i wiarą, że co rozpoczął Kościuszek, tego dokona Chłopicki. Najstarszy syn pana Czesława, Stanisław, liczący wówczas lat 21, rwie się „za Wisłę”. Ojciec, żołnierz Kościuszkowski, wyprawia syna z błogosławieństwem, jak jego niegdyś wyprawiano.

Jan Staszak, chociaż mu lat pięćdziesiąt dawno minęło, znowu prosi, zaklina, aby go z paniczem puszczono, bo nużby mu się co złego wydarzyło. Poszedł z paniczem!

Zajechali do Gumnisk pod Tarnowem i stąd wyruszyli z Ks. Władysławem Sanguszką, przyjacielem i powinowatym pana Stanisława. Na przeprawie przez granicę, w pobliżu Tarnowa, pomieniali starym obyczajem pałasze i zostali „braćmi ślubnymi”. Ale w Warszawie rozdzielili się, bo pan Stanisław „chciał być prawdziwym żołnierzem”, jak mówił i wstąpił do wywiecznionego już, starego wojska, a to do 2-go pułku strzelców konnych, a ks. Władysław Sanguszko do nowo tworzących się zaciągów.

Jan nie odstępował panicza.

Wre walka, ale wichrzy też i zamęt u góry; wulkaniczny płomień męstwa tryska z piersi narodu i wojska, ale obok syczy się brudna lawa swarów, intryg, niezgody.

Zniweczyły wysiłki narodu, Moskwa na nowo przydeptała Polskę!

Wrócił pan Stanisław, wrócił i Jan, a przydał się paniczowi, bo go wyrwał na podjezdźku z pomiędzy kozaków, jak jego niegdyś, pod Szczekocinami, ojciec pana Stanisława.

Pan Stanisław ożenił się wkrótce z Felicją Krajewską, córką pana Michała, właściciela Tyrawy Wołoskiej i osiadł w dziedzicznych od lat trzystu Kowalowach.

Zawsze on czynny brał udział w życiu obywatelskim. Był członkiem tak zwanych „Stanów Galicyjskich”, a za pierwszej konstytucji austriackiej w r. 1848, posłował do Wiednia.

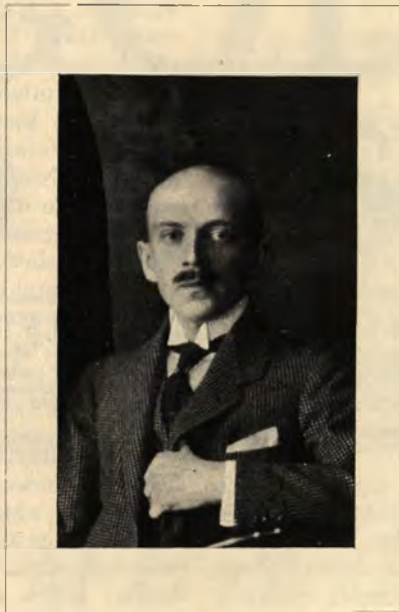
Wychowywał córkę, Emilię Nowosielecką i dwóch synów. Starszy, Stefan, wyrwał się ze szkół, szesnastoletnie pacholę i spieszył do powstania węgierskiego

zwany Sobusiem, major Malczewski, a oczywiście stary Jan nie odstępował swojego pana.

Co roku, w lipcu, w miesiącu imienin pana Czesława,



Czesław \* 1844.



Jan \* 1854.



Czesław \* 1897.

w r. 1849. Ujęto go na granicy karpackiej i za karę oddano do wojska. Ciężką miał dolę w 40-tym pułku piechoty.

Gonię, zaprzęgać każę, po lekarza, po księdza. Nagle źle się zrobiło.

Wybiegl, a Czesławek pospieszył do dziadunia.

Pan Czesław ostatnie wydawał tchnienia. Zobaczył wnuka, skinął, ujął go za głowę, przytulił do piersi, na głowie znak krzyża uczynił i z wysiłkiem mówił:

— Niech ci Bóg ...błogo...sła...wi! Ko...chaj Boga i Ojczyznę!

Wnuk Czesław wziął do serca ostatnie przykazanie dziadka i wiernym pozostał mu całe życie.

Rok 1863.

Młodszy syn Czesław, imiennik dziadka, uczęszczał do gimnazjum św. Anny w Krakowie, a następnie w Tarnowie.

Dziadek przygarniał wnuka imiennika pieścił, może bardziej, niż inne wnuki, a miał ich po synach i córkach nie mało. Chłopiec chętnie słuchał opowiadań dziadka o Kościuszcze, zarówno jak tego, co mówił ojciec o r. 1831.

W Stańkowy tulilo się kilku rezydentów, rozbitków z powstania 1831 r. Był tam porucznik Kisielewski, zjeżdżała rodzina, zarówno synowie, jak córki i zięćowie i gromada wnuków.

Było to w roku 1858. Dziesiątego lipca posłał pan Czesław po muzykę do Sanoka, by dzieciom i wnukom zagrała do tańca. Tańczono. Pan Czesław przypatruje się, uśmiecha, potem rażno powstaje i chociaż miał lat 84, z najstarszą córką puszcza się mazura. W chwilę potem osłabł, wyszedł i położył się. Chciano posłać po lekarza, ale pan Czesław zabronił, uspokajał, uśmiechał się wesoło i rozkazał, aby muzyka grała, bo przy niej zdrowo zaśnie.

Zagrała narodowe pieśni i, jak to na wsi bywało, już o dziesiątej wieczorem wszystko we dworze usnęło. Jan czuł, nie opuszczał sypialni pańskiej. Noc minęła spokojnie. Rano 11-go lipca, rozprószyło się całe towarzystwo po ogrodzie, uradowane, że pan Czesław przespisał noc zdrowo i jeszcze śpi snem pokrzepiającym.

Wnuk, czternastoletni Czesławek, pozostał w przyległym do sypialni pokoju, czekając, by mógł pierwszy powiedzieć dziadkowi „dzień dobry“. Nagle wpada Jan przerażony i szepcze łkając:

— Źle! Gdzie tatuś? Idź Czesławku do dziadunia.

Rok 1863 znalazł go w VIII kl. gimnazjalnej w Tarnowie. Poszedł śladem pradziada, dziada i ojca. Co działał, gdzie był, gdzie walczył, spisał w pamiętniku p. t. „Temu lat 27. Kartki z pamiętnika. Kraków. Nakładem K. Bartoszewicza 1890“. Książka ciekawa, bo mieści nie tylko przygody osobiste powstania, ale daje też charakterystykę czasu i ludzi, a zawiera wiele szczegółów, dla historyka ważnych, a niemal nieznanymi, jak przyczyna zaprowadzenia stanu oblężenia w Galicyi.

Po rozbięciu oddziału Mossakowskiego, gdzie był adiutantem, otrzymał urlop na dwa tygodnie i pospieszył na grób dziadka do Stańkowy, gdzie mieszkała ciotka Janowska.

Opiekowała się starym Janem, którego pan Czesław dostatnim legatem obdarzył. Była też w Stańkowy panna Kaczyńska, co jeszcze pana Czesława piastowała, jako rezydentka pana stolnika lukowskiego. Liczyła 108 lat, a umysł taki miała świeży, że najdokładniej umiała opowiadać o Konfederacji Barskiej, o życiu w Warszawie za Stanisława Augusta, o czasach Kościuszkowskich, Napoleońskich. Przytem tyle w niej było czerstwości i siły, że rwała się do zajęć gospodarskich, a drutów, na których robiła pończochy, z rąk nie wypuszczała, chyba przy modlitwie i jedzeniu.

Czesławek ucałował rękę staruszki, ucałował Jana w ramię i o błogosławieństwo na dalszy bój upraszał. Stary Jan uściskał Czesławka i rzekł:

— Poszedł pan stolnik bić Moskala i wrócił, poszedł dziadus, poszedł tatuś i Bóg ich szczęśliwie przypro-wadził. Byłem z dziadusiem i tatusiem, z tobą nie pójdę, bom stary, ale modlić się będę, byś wrócił szczę-śliwie.

Kaczyńska oblała łzami Czesławka, upieściła, a po-tem, oczy wzniosłszy w górę, mówić zaczęła głosem wzruszonym, ale stanowczym:

— Ty wrócisz i syna wyprawisz, i wnu-ka, bo przez pięć pokoleń musi Polska bój staczać z Moskałem, zanim się wy-zwoli. Przez pięć pokoleń powiadam, bo jest pięć ran Chrystusa Pana i Polska pięć razy przez pięć pokoleń ranami po-kryje swój naród, aż szóste się zrodzi w oswoobodzonej Ojczyźnie!

Upadło powstanie! Zaskrzypiały szubienice wiesz-ła Murawiewa. Moskwa na śmierć dławić naród za-częła!

Wrócił Czesław wnuk.

Brakło dla niego na wsi ojczystych zagonów, więc jął się pracy innej, niż przodkowie. W Krakowie osiadł-szy, podjął pracę literacką i pedagogiczną.

Wierny przykazaniu dziadka, krzewił miłość Boga i Ojczyzny i w sercach uczniów i w rozlicznych pismach swoich.

1914—1915.

Syn jego Jan, chrześniak Jana Matejki, przyjaciela ojca z lat młodości, inżynier zaszczytnie ceniony w zawodzie swoim, w piątym pokoleniu stanął do walki

z Moskwą, a z nim stanie wnet w szeregu szóste poko-lenie Odrowążów-Pieniążków.

Po najstarszym synu Stanisławie, urodzonym w Dre-źnie, chrześniaku J. I. Kraszewskiego, zmarłym przed-wześnie, a tragicznie, pozostał profesorowi Czesławowi wnuk, także Czesław, trzeci tego imienia w sześciu pokoleniach. Będąc uczniem szkoły realnej, zaciągnął się do organizacji Legionów, ale warty był jeszcze, za-czekać mu kazano, aż się wzmocni. Przez kilka mie-sięcy zmęźniał i ledwie zdał maturę, w lipcu, poszedł pod broń. Nie mając już ojca, sierota, stanie obok stryja swego, jako dopełnienie owego piątego pokolenia, które ma ostatecznie wywalczyć niepodległość Ojczyzny.

Pan Czesław, żołnierz z r. 1863, prawnuk Jana, kon-federata Barskiego, wnuk Czesława, żołnierza Kościusz-kowskiego, syn Stanisława, bojownika z r. 1831, pobło-gosławił syna Jana i wnuka Czesława, żołnierzy r. 1914—15 i powtórzył im przykazanie swego dziadka:

„Kochajcie Boga i Ojczyznę!”

Na cmentarzu w Stańkowy spoczęła Kaczyńska, w po-bliżu grobowca pana Czesława, którego piastowała. Stary Jan umarł, licząc przeszło dziewięćdziesiąt lat. Umierając prosił, by go pochowano u nóg pana. Pocho-wano go obok. Spoczęli przy sobie Kościuszkowscy żoł-nierze, jakby na straży grobowca tej, co wieściła, że pięć razy Polska się zakrwawi, że pięć pokoleń walczyć musi, nim wolność zaświeci.

Skoro już i szóste stanęło do boju, niechże już ta walka będzie ostatnią, a zwycięską, dla spokoju świata i szczęścia Polski męczennicy!

## MIRANDOLA: CO DUSZA WYŚNI.

CO DUSZA WYŚNI, A UCZYNIĄ RĘCE  
TEGO NIE WEZMA, WZIĄĆ NIE MOGA WROGI.  
TO, CO POWSTAŁO POD HASŁEM „POŚWIĘCE”  
JAK GRANIT TWARDY JEST TĘCZOM POD NOGI.

TO, CO WYROSŁO NA ŚWIATŁO Z PIWNICY,  
Z LOCHU, ZNA DROGĘ NA ŚWIATŁOŚĆ, NA JAŚNIE...  
I SŁOŃCE WIELKIE ZNAJA MĘCZENNICY  
CO W CHWILI SKONU NA KRZYŻU NIE ZGAŚNIE...

ORLETA LECA TA DROGA CO OJCE,  
NIE GINIE NIGDY ŻADNA DUCHA PRACA...  
WIĘC SIĘ W OBOZY ZMIENIAJA OGROJCE...  
I WIOSNA ZAWSZE POWRACA.



## TADEUSZ PAWLIKOWSKI

UR. WE LWOWIE 1861 R., ZMARŁ W KRAKOWIE 28 WRZEŚNIA 1915 R.  
NAZWISKO JEGO ZŁOTEMI GŁOSKAMI POZOSTANIE NA ZAWSZE ZAPISANE  
W DZIEJACH POLSKIEGO TEATRU, JAKO DYREKTORA SCENY KRAKOWSKIEJ  
I LWOWSKIEJ, KTÓRY POZIOM OBU TEATRÓW PRAWDZIWEM ZNAW-  
STWEM I UMIEJĘTNOŚCIĄ PODNOSIŁ NA WYŻYNY WIELKIEJ SZTUKI.